

JÓZEF LASOŃ.

# Ostatni list.

(Ze wspomnień Legionisty).

## III.

Druga kompania 2-go batalionu, jako straż przednia wyznaczona, wysunęła się na czoło kolumny, rozstawiła flanki i szpice.

Noc ciemna, mglista, droga pełna wybojów, dółów utrudniała marsz żołnierzy. Jeszcze przy zwyczajnym marszu jako tako po takich drogach się szło, ale przy marszu ubezpieczonym stawało się to męką dla żołnierza. Co kilkadziesiąt kroków stać, potem posuwać się zółtim, powolnym krokiem i wtedy dopiero, kiedy łączniki dadzą znać, że droga wolna, dalej maszerować. A tu potykać się co chwila, to w w kałużę błota, to znów w dziurę wpaść — to rozpacz człowieka ogarnia. Do tego, ani słowa rzec nie można, cicho, bacznie iść, ani zaśpiewać, ani papierosa zapalić nie wolno. Czasem tylko półgłosem zakłnie który, gdy potknie się, lub gdy mu nogę maszerujący w drugim szeregu potraci. Cała myśl skupiona jest tylko na głos komendy, ręka przy karabinie, gotowym do strzału, nerwowo przyłożona. A tu język świerzbi, chęć do gadania wielka, aby się trochę rozerwać, rozweselić, wyrwać z tego nastroju. Bo największą przyczyną przygnębienia, to właśnie przejmowanie się wszystkim, co się stało, co się dzieje, co się stać może... Ot, lepiej zapomnieć o wszystkim, a tylko śmiechem zagłuszyć.

Maszerować kiedy każą, stać, strzelać... człowiek staje się powoli mechanizmem, bez serca, czucia, takim karabinem maszynowym, który, naładowany, wali... sieje śmierć i zniszczenie... bo kierują nim i puszczają w ruch.

Takie to czasem uczucia przychodziły, myśli się takie snuły... i wiele jeszcze innych... ale o nich... kiedyś w przyszłości!...

Deszcz wali, wicher dmie w oczy wielkie krople, siecze po twarzy, spływa po policzkach. Już szósta godzina marszu, żołnierz już zmęczony, przemoczony, a niewiadomo, kiedy i gdzie na kwaterę się przyjdzie i jaką. Przemoczona odzież przylepia się do ciała, dreszcze przebiegają ciałem, a tu jeszcze w dodatku nieproszone goście... za koszulą wynajęły kwaterę... w tyralierkę rozłożone... atakować poczynają. Ogarnia znużenie, wyczerpanie.

Wreszcie padła komenda z ust batalionowego:

— Batalion... stój!

Zapowiedziano półgodzinny odpoczynek, nakazano spokój i milczenie.

Po obu stronach drogi, w rowach przydrożnych, rozłożyli się żołnierze. Karabiny w dłoni, gotowe do strzału. Na rozmokłej ziemi usiedli, by choć na chwilę wyprostować nogi, wyciągnąć je przez kilka minut. Bo dla piechury — to nogi grunt. Nogi zdrowe u żołnierzy — to marsz idzie rażno, oho-czo, kolumna się nie huśta w marszu, nie łamie, nie kołysze. A niech tylko w kompani kilkunastu „nożni” chorych się znajdzie, to cała kompania już kiwać się, kołysać poczyną. I męczy się przez to żołnierz prędko, zdrowy poczyną kuleć... zmieniając co chwilę krok.

Częstokroć jednak złe obuwie przyczynia się w dalekiej mierze do tego. Ciasne, albo za duże buty obcierają nogi i żołnierz kuleje.

Dobre, silne, wygodne buty — były marzeniem każdego z nas, a o takie trudno było. Niejeden w podartych łapciach szedł, palce mu przez dziury wyglądały. Woda się ciurkiem wlewała do środka. Niejeden bosą nogą po kamieniach stapał... choć tam niby z wierzchu nogi cholewkę miał jeszcze... kawałek skóry z buta... tylko podeszwę gdzieś zgubił.

Wicher wyje po polach, w melodyję jakąś szatańską wpada, to znów jęczy, śmieje się, płacze. Wszystko możnaby w wicherze takim wyczuć... I rozpacz potratowanej ziemi matki i płacz wieśniaka nad rozwaloną granatami chałupą i jęki dzieci nad rozszarpaną szrapnelem matką... I tysięczne skargi... i milionowe jęki... w wicherze tym wyczuć by można.

Obsiedli przydrożne rowy żołnierze polscy, jedni snują myśli o dniach przeżytych i o dniach przyszłych, dniach walki — drudzy bezmyślnie siedzą, spoczywają.

Ho! Ho!... jakie to myśli snują się w głowach

tych młodych żołnierzy! Niejeden wspominał o domu rodzinym, niejeden westchnął głęboko.

Półgłosem poczęto rozmawiać.

Wieść radosna poczęła się przedzierać pomiędzy tym szeptem, który pośród żołnierzy szedł. Jedni twierdzili ze stanowczością, drudzy przypuszczenia tylko snuli.

— Na Warszawę idziemy!... Na Warszawę! — coraz głośniej poczęło się radosne echo przedzierać.

— Nareszcie po tylu tygodniach tułaczki idziemy na Warszawę — szeptali.

A wszak ta Warszawa to sercem dla każdego Polaka, a chwila wejścia polskiego żołnierza do Warszawy, tak gorąco upragniona.

Zaczęto się sprzeczać.

— Ja zaś mówię! — uporczywie twierdził Liszka, podoficer z 2-giej kompani — że na Galicję pomaszujemy.

— Ale, o! Popatrz bracie na mapę, to się dowiesz — przerwał mu któryś z żołnierzy.

— Tak! tak! Popatrz na mapę!

— Nie wolno świecić.

— Głupstwo! W rowie siądziemy, ja mam ślepa latarkę! — odezwał się Kulczyk — Chodźcie tu, zobaczmy.

Usiedli w rowie, na kamieniu rozłożyli mapę, płaszcz nad nimi rozciągnięty dwóch trzymało, Kulczyk zaś z kilkoma żołnierzami wpatrywał się w mapę.

— Żołnierz nigdy dokładnie nie wie, gdzie idzie. — mruczał pod nosem podoficer Liszka. — Od tego batalionowy, pułkownik, aby prowadzić, a żołnierz ma tylko słuchać. Ale ciekawość u nas nigdy nie zaspokojona. Zawsze chcemy wiedzieć, dokąd idziemy... gdzie mamy iść...

— A widzicie! — odezwały się przyciszone głosy z rowu. Kulczyk miał słuszość. Maszerujemy w kierunku północno-wschodnim, a więc na Warszawę.

— Albo na Iwangród! — dorzucił któryś.

— Albo na Będzin!

— Albo i albo... do cholery — wtrącił rozgniewany Stach, sanitet z 3 ciei kompani. — Albo i albo! Do cholery... Głowy sobie łamiecie na próżno. Gdzie prowadzą, tam idziemy. A niech tam i do dyabła idziemy, to wszystko jedno. Na Moskalą idziemy. To naszym pragnieniem było i na niego też idziemy. Martwić się byle czem, albo tem, gdzie idziemy. Tak, jak te baby ustawicznie stękacie: „A gdzie idziemy? a dokąd nas prowadzą!” — Bo dajby was... pokręciło.

— Cicho, łapiduchu! Nie pytluj ozorem — odezwał się Liszka. — Duchy idź łapać, nie z nami się użerać...

— Zaczekaj... zaczekaj... — roześmiał się Stach — Złapę ja ducha, a uważaj, żebym twojego nie złapał. Gorącą łaźnię sprawię mu, aż piszczeć będzie.

— Nie złapiesz go, łapiduchu. Dobrzem się zabezpieczał.

— Ja go tam już wymacam!

— Uważaj, żeby on cię nie pomacał. Byłoby z tobą krucho, łapi... łapi... duchu...

Chichot stłumiony wtórował sprzecze ich.

Łapiduchami nazywali się przystanki sanitetów, którzy się o to niezmiennie złościł.

Liszka jednakże odczepił manierkę z wódką, podniósł do ust, napił się do Stacha na przeprosiny. Bo gniewy i przeprosiny były nieraz co chwila. To jeden drugiemu nogę w marszu przydrepił, to jakąś łatkę mu przyczepił — już gniewy — a za kilka minut — przeprosiny, naturalnie w towarzystwie manierki z wódką, lub arakiem.

Kulczyk rozciągnął płaszcz na ziemi, położył się, przywołał Liszkę. Byli to dwaj nierozłączeni kole-dzy. Pomimo, że nieustannie się ze sobą żarli, jeden bez drugiego obejść się nie mógł. Obaj byli z Nowego Sącza, i w jednym plutonie służyli. Kulczyk był sekcyjnym pierwszej sekcji, Liszka był podoficerem za frontem.

Lubił ich bardzo. Byli to serdeczni chłopcy, a przytem łobuzy nielada. Zżyłem się z nimi, jak z braćmi i żalowałem szczerze, że losy nas rozdzieliły.

Pokrzepili się trochę rozpuszczonym z wodą arakiem, Liszka wyciągnął papierosa i ukradkiem zapalił, ukrywając ogień w czapce.

— Br... br... przeklęty czas! — otrząsł się z zimna Kulczyk i westchnął.

— Jeszcze jaki... — odparł Liszka.

— Masz jeszcze co w manierce?

— Niestety. Pusta już. Wyschła, jak Morze Czerwone, kiedy lud Izraela przez nie przechodził i ani kropli w niej nie znajdziesz.

— Szkoda!

— Ale, wiesz co?

— No!

— Mam cukier.

— To dawaj!

Rozpakował Liszka tornister, wyciągnął garść cukru. Chrupiąc cukier, poczęli szeptem rozmawiać, o domu, o ojcach, o tem, co teraz w chacie robią. Może w pieleszach śpią i o nich snują. I cieszy się ich pocziwe ojcowskie serce, że takich synów mają, którzy na bój straszny poszli, by Moskali tłuc i rznąć.

Od przemokłej ziemi wilgoć szła, wżerała się w ciało, w kości.

— Którego dziś mamy? — spytał po chwili Kulczyk, przewracając się na bok i trzęsąc od przejmującego zimna.

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Zdaje mi się, że dwudziestego pierwszego, albo drugiego.

— Z pewnością?

— Nie wiem, czy z pewnością, przypuszczam. A o cóż ci idzie?

— Chciałem list do rodziców napisać.

— To i tak cenzura datę ci skreśli.

— Może się uda, że nie skreśli. Rodzice będą przynajmniej wiedzieć, kiedym pisał. Na kwaterze napiszę.

— O ile będzie jaka kwatera. Br... br... br... zimno.

Tak dni nam upływały, że rzadko który z nas wiedział, którego jest dziś, jaki dzień tygodnia. Od czasu do czasu, któryś wycyrklował: „A dziś niedziela, tego, albo tego, albo poniedziałek, tego dnia, tego miesiąca.

Z rozmowy wyrwał ich głos plutonowego, wzywający Kulczyka.

— Rozkaz! — szybko wymówił Kulczyk, zrywając się z ziemi i stając jak struna przed plutonowym.

— Weźmiecie pięciu ludzi! O dwa kilometry idąc, prosto drogą idąc, znajdziecie do wsi X. Trzeba wieś przeszukać, przejrzeć dobrze, czy Moskali tam nie ma, następnie kwatery dla batalionu wyszukać. Ludzi sobie wybiercie, albo, który tam może na ochotnika.

Zerwało się kilkunastu.

— Ja pójdę! — wołają jeden, za nim drugi, trzeci.

— Obywatelu plutonowy — roześmiał się Kulczyk. — To trochę za dużo ochotników.

— Ja z Kulczykiem idę! — woła tam któryś z tyłu. — Ten dobrze zna rekwirunek i z nim, kto idzie, to pojedzony wraca.

Z Kulczykiem lubili żołnierze na patrole chodzić, gdyż on zawsze dobrego węcha miał. Wiedział, gdzie pukać, aby dobrze trafić. I pojeść sobie z nim można było i popić czasami. Ale przytem służbista był wielki — rozkazy ściśle i skrupulatnie zawsze wypełniał, a że czasami, w chwilach wolnych, kiedy nie groziło niebezpieczeństwo, lubił wleźć w chałupę i o prowianty się postarać, nie miał mu tego nikt za złe. To też tak plutonowi jak kompanijny cenili bardzo Kulczyka i nie jedną ciężką i poważną „robotę” mu wyznaczali, wiedząc, że się z niej sumiennie i dokładnie wywiąże. Nic też dziwnego, że gdy postyszeli, że Kulczyk idzie i pięciu żołnierzy ma iść z nim, cisnęli się do niego wszyscy, chcąc przy tej okazji pokrzepić się we wsi.

Uśmiechnął się Kulczyk, rozglądając wokoło, patrząc, kogoby z szeregu wybrać, któremu mógłby w zupełności zaufać.

— Mnie! Mnie! — poczęli się dopominać.

— Darmozjadów nie chcę! — z uśmiechem mówił Kulczyk do plutonowego — bo tylko żryć patrzeć, zamiast służbę pełnić skrupulatnie.

Wreszcie wybrał pięciu, odebrał od plutonowego szczegółową instrukcję i odmaszerował w kierunku wsi.

Wicher zalewał oczy kroplami deszczu, dreszcze przechodziły po kościach od przemoknięcia, a tu w dodatku buty dziurawe i co chwila... chlap... chlap... we wodę.

Ostrożnie poczęli posuwać się ku wsi. Zdaleka rysowały się jej kontury, chaty i drzewa wyglądały zdaleka jak pasemko gór drobnych.

Przystanęli o parę kroków przed wsią. Kulczyk ręką wskazał na pierwszą chałupę. Cicho, jak koty, podsunęli się żołnierze pod chałupę, przy drzwiach stając.

Kulczyk zapukał we drzwi. Nikt się nie odezwał, nie odpowiedział. Popatrzył uważnie na drzwi. Były zamknięte od wewnątrz, widocznie ktoś w środku musi być. Kolbą karabinu uderzył silnie w zamknięte drzwi. Ktoś się wewnątrz poruszył raptownie.

— Otworzyć tam! — przyciszonym głosem zawołał.

Po chwili światło zabłysło w oknach chaty, za-